

# Radosław Skrycki

---

## "... tu sam szkielet, więcej nic!" : wspomnienia Anny Kostańskiej

---

Rocznik Chojeński 2, 214-225

---

2010

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Radosław Skrycki

*Bezrzecze*

## „...TU SAM SZKIELET, WIĘCEJ NIC!” WSPOMNIENIA ANNY KOSTAŃSKIEJ\*

Mój ojciec, Hieronim był gajowym, matka, Karolina była gospodynią domową. Gdy ojciec przeszedł na emeryturę, został „dróżnikiem”, miał pod sobą ludzi i opiekował się pewnym odcinkiem drogi. Pracował tak aż do wojny. Gdy odchodził z lasu, dostał odprawę: materiał (drewno) na budowę nowego domu. Nasz dotychczasowy był bardzo, bardzo stary; główne słupy były tak szerokie, że potrzeba było dwóch ludzi do objęcia ich. Stały na kamieniach. Nowy dom budowali od 1936 roku, stał na fundamentach, był kryty dachówką.

Miejscowość, w której mieszkaliśmy, Uzin<sup>1</sup>, była duża, miała chyba z 280 numerów. Wiele małżeństw było mieszanych, polsko-ukraińskich. Jak ojciec był Polakiem, to synowie byli chrzczeni u polskiego księdza, a dziewczęta u popa. Jak żona była Polką, to córki były chrzczone w kościele, a synowie w cerkwi. Ok. 30 rodzin było czysto polskich. Nie wiem, jak było kiedyś, ale tuż przed wojną Polacy byli „szlachtą” i wyraż-

---

\* Anna Kostańska, ur. 23 stycznia 1926 w Uzinie. Od sierpnia 1945 r. zamieszkała w Mętynie.

<sup>1</sup> Uzin (dawn. Uziń) – przed wojną wieś gminna w pow. stanisławowskim, woj. stanisławowskie, 14 km na pn.-wsch. od Stanisławowa.

nie różnili się od Ukraińców. Pamiętam, że jak przyszli Ruskie 17 września, to Ukraińcy chcieli Polaków wymordować. Ale Ruskie powiedzieli że nie, że jest wszystko jedno czy Polak, czy Ukrainiec. No i Ukraińcy się wstrzymali. Wszystko zmieniło się, jak napadł Niemiec na Ruskich<sup>2</sup>. Najpierw ich sprowokował, żeby napadli na Polskę, a potem sam napadł na nich.

Gdy wybuchła wojna, Ruskie pobrali wielu ludzi do Armii Czerwonej. Wcześniej do wojska brali też Polacy. Ojciec był już za stary, więc go nie wzięli, miał tylko w razie potrzeby kopać okopy i rowy. Ale zabrali mojego brata Jana<sup>3</sup> i kuzyna Michała. Z dalszej rodziny wzięli Piotra Magnowskiego (był oficerem). Jak wojna się toczyła, wielu Polaków uciekało z wojska i próbowało przekraczać granicę. Dwóch młodszych kuzynów przedostało się do Rumunii, a z niej chyba do Francji. Już nie



Ryc. 1 Zdjęcie ślubne, 1947 r.

wrócili. Jeden nazywał się Kazimierz Borkowski, drugi Karol Borkowski. Nie byli żołnierzami, to byli strzelcy, taka wtedy była organizacja<sup>4</sup>. Nawet księża to organizowali. Jak wojna wybuchła, to wielu strzelców puciekowało przez granicę w Zaleszczykach. A gdzie dalej – tego nie wiem. Wiele wtedy do Rumunii uciekało.

Po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej weszli do nas Niemcy. W naszej wiosce nie było takiej tragedii, żeby Niemcy pobili kogoś czy coś komuś spalili. Tylko dali wolną rękę Ukraińcom. I ci zaczęli nas

<sup>2</sup> 22 czerwca 1941.

<sup>3</sup> Jan Jasiński, ur. 1931, zm. w 2006 r. w Mętnie. Jest jeszcze młodszy brat, Stanisław, ur. 1938.

<sup>4</sup> Paramilitarny Związek Strzelecki, związany z obozem piłsudczykowskim, który w 1939 r. liczył ok. 500 tys. członków, zaś w czasie kampanii wrześniowej wykonywał zadania powierzone przez władze wojskowe.



Ryc. 2 Józef Kostański, 1945

niszczyć. Popalili nam dom, nowy. Nocowaliśmy w zakątkach jakichś, żeby na nas nie napadli. Jak było we wsi wojsko, to byli spokojni. A bywali u nas żołnierze, których nazywali „Magiary”, to chyba Węgrzy<sup>5</sup>. Ci żołnierze byli bardzo przyjacielscy, trzymali stronę za Polakami, wtedy można było być w domu. Ale jak nie było wojska, bo front przechodził, to wtedy trzeba było się chronić, w lesie nocowaliśmy. Jak później Niemcy zaczęli brać ludzi do Niemiec do pracy, wielu wyjeżdżało na ochotnika, szczególnie ci, którzy byli biedni. Wyjeżdżali z całymi rodzinami. Ale z czasem Niemcy zaczęli robić obławy, łapali młodych ludzi. To wtedy każdy się chował, bo kto chciał pojechać, to już dawno pojechał. Więc dali zarządzenie wójtowi, by wyznaczał ludzi: tyle i tyle ma odstawić. On był Ukraińcem, ale mój wujek, Maciej Jasiński (po wojnie osiedlił się koło Jeleniej Góry), kolegował się z nim w młodości, więc próbował nas trochę chronić. Nie pamiętam, jak się nazywał, ale mówili na niego „Hulaj”. Kiedyś w sobotę przyszedł do mojego wujka i powiedział: „- Słuchaj kolego, do tej pory jakoś was broniłem przed Niemcami, ale teraz już nie mogę”. No i musieliśmy uciekać do miasta. Miasto jak to miasto – więcej ludności, więcej Polaków. Banda na miasto nie mogła ruszyć, bo tam też było wielu żołnierzy: Rumuni, Magiary, Czesi, Niemcy. Myśmy byli tam półtora roku.

Zanim się banda stworzyła, pracowaliśmy w majątku u Niemców. Kiedyś to był majątek księży<sup>6</sup>, ale jak przyszli Ruscy to wszystko rozda-

<sup>5</sup> Węgry przystąpiły do wojny po stronie Niemiec 27 czerwca 1941.

<sup>6</sup> Dominikanów z Jezupola.

li ludziom, a księży powypędzali. Jak później przyszli Niemcy, tak to wszystko pole od ludzi pozabierali i stworzyli majątek z powrotem. Prowadził to Niemiec Langert, mieszkał pod samym Stanisławowem, we Włóczyńcu<sup>7</sup>. Tam była gorzelnia i majątek; do nas przyjeżdżał tylko na inspekcje. U nas gospodarstwo prowadził Polak, który jeszcze u księży pracował. Był z Krakowa, jak przyszli Niemcy, zapisał się na volksdeutscha. Jego żona dobrze mówiła po niemiecku, była nauczycielką.



Ryc. 3 Z mężem Józefem, córkami Krystyną (starsza), Alicją (młodsza) i synem Januszem (na ręku), 1955 r.

Jak Niemcy wiedzieli, że będą uciekać, zaczęli wszystko wywozić. Wtedy banda się stworzyła, później spalili ten majątek. Zarządca uciekł do miasta.

Kiedy przyszli nas mordować Ukraińcy, matka z najmłodszą siostrą Rózią<sup>8</sup> nocowały w domu u jednego Ukraińca. Miał pięcioro dzieci, a jego żona była naszą dobrą znajomą. Mieszkał na samym końcu wioski. Kazał mamie nocować ze swoją żoną, bo sam „szedł w bandę”. Mówił: „- Będziesz tu bezpieczna”. Na imię miał Piotr, ale nazwiska nie pamiętam. Ja nocowałam gdzie indziej, a moja siostra Janka<sup>9</sup> nocowała w domu nieżyjącej już wtedy stryjenki. Jej męża zabrali do Niemiec. Stryjenka została przez kogoś zgwałcona, zaszła w ciążę i chciała poronić, ale wdało się zakażenie i zmarła. Matka wysłała telegram do Niemiec, który

<sup>7</sup> Właśc. Wołczyniec.

<sup>8</sup> Rozalia Jasińska, ur. 1941, zm. w Mętnie w 1965, najmłodsza z rodzeństwa.

<sup>9</sup> Janina Jasińska, ur. 1934, zm. w Mętnie w 2010 r.





Ryc. 4 Szczecin-Gumieńce, 1945, Józef Kostański siedzi w dolnym rzędzie trzeci od lewej



Ryc. 5 Rozalia Kostańska (z lewej)

szedł miesiąc albo i dłużej. Stryj przyjechał w tę samą noc, jak nas palili. Wsiadł na stacji w Haliczu i stamtąd szedł pieszo. Widział, że się coś dzieje niedobrego, bo wtedy palili wiele wiosek. To było 24 marca 1943 roku<sup>10</sup>. Wtenczas spalili część naszego domu, stodołę, oborę. Bydło wypuścili, ale jedną świnię, którą ojciec hodował, spalili w chlewie. Mieli na plecach bańki z benzyną, jakieś miotły i tak szli, kropili i podpalali. Domy drewniane ludzie na zimę ogacali słomą i liśćmi, więc łatwo się paliło. A gdzie był polski dom blisko ukraińskiego, to nie palili, tylko w domu niszczyli i

<sup>10</sup> Być może były to wydarzenia w jakiś sposób powiązane z antypolskimi wydarzeniami tzw. rzezi wołyńskiej. Data roczna wydaje się być niepewna i chyba należy ją przesunąć o rok, ponieważ obszary te stały się teatrem większych aktów przemocy ze strony Ukraińców dopiero w początkach 1944.



Ryc. 6 Jan Jasiński (pierwszy z prawej)

mieszali wszystko – mąkę z cukrem, solą, meble rozwalali. Nasz dom stał trochę na uboczu, mieliśmy niewielki sadek, wszystkiego było z morgę, na środku stał nowy dom, opływał go potok – no i to wszystko spalili, bo było daleko od budynków ukraińskich. Trzeba więc było uciekać do miasta.

W Stanisławowie w okresie „niemieckim”, było ciężko. Nie było pracy. Moja mama miała znajomych, z którymi kiedyś handlowała, więc brała młodszą córkę (Rózię), chodziła do nich i zawsze coś przyniosła. Mieszkaliśmy w 9 osób w jednym mieszkaniu z gospodarzami, zajmowaliśmy jeden pokój. W dzień musieliśmy się chować, bo Niemcy wszystkich młodych zabierali na roboty.

Kiedy przyszedł front i rozpoczęły się walki o miasto<sup>11</sup>, myśmy schronili się w piwnicy pod jakąś kamienicą. Siedziało nas tam ze 40 osób. Młodzi, ciekawi, wyglądali przez okno. Widzieliśmy na ulicy taki obra-

<sup>11</sup> Kwiecień 1944.



Ryc. 7 Stanisław Jasiński, 1956

zek: siedzi dwóch Niemców, mają jakieś działko. Jeden z nich podszedł do naszych drzwi, zapukał i poprosił wodę. Dali mu kawy; jakby nie było to też człowiek, musiał iść na front. Dali mu też bochenek chleba, taki mały, kwadratowy. Zaraz podszedł do kolegi i łączywie jedli ten chlebek. Ledwo zdążyli zjeść, gdy z drugiej strony ulicy, z punktu obserwacyjnego w kamienicy, jakiś Niemiec krzyknął: „Alarm!” i zaczęli uciekać. Ale czy zdążyli – nie wiem, ale chyba ich Ruscy zagarnęli. Bo jak oni zaczęli biec,



Ryc. 8 Stoją od lewej: NN, Czesław Jasiński (kuzyn), Michał Jasiński (kuzyn), Jan Jasiński (wujek, brat matki), Franciszek Jasiński (kuzyn), Michał Jasiński (wujek, brat mamy).



to na ulicy obok widzieliśmy całą masę Ruskich. Wiedzieliśmy, że są blisko, bo dwa dni wcześniej widzieliśmy, jak Niemcy prowadzili po ulicy jeńców, może z 50. Ruskie może i by prędzej zdobyli to miasto, ale im było szkoda, bo wiedzieli że będzie ich. Leżało w takiej dolince, opływała je Bystrzyca. Z jednej strony była góra, na niej stali Ruskie z katiuszami, ale nie puścili ich na miasto tylko poza nie. Sama widziałam takie katiusze – to był taki samochód a nim trzy albo cztery szyny. I to ponoć mocno paliło.

Kiedy przyszli Ruscy, wróciliśmy do domu. Stodoła była spalona a dom tylko z boku, z jednej strony. Z drugiej można było jeszcze mieszkać. Ale banda ukraińska była w lesie, oni nie poszli z Niemcami. Były żniwa, ale ojciec bał się na pole wychodzić. Ja, matka i babka chodziłyśmy na pole. Poukładałyśmy zboże w kupki, ale nie zdążyłyśmy go zwieźć, bo znowu bandy zaczęły napadać. Przyszedł do nas ten Ukrainiec, u którego matka nocowała, i mówi: „- Nie pokazujcie się tu nigdzie, bo będą tędy przechodzili”. No i tak myśmy siedzieli w kukurydzy, ale nie szli tą stroną tylko poszli inną. Wtedy dwóch ludzi zabili, kobietę i mężczyznę. Jak palili pierwszy raz, to też dwoje ludzi zabili. Jednego starego pod stajnią siekierą zarabali. My się Ukraińców bardziej baliśmy niż Niemców. Dlaczego tak było? Nie wiem, ale kiedyś było jakieś poróżnienie. Nawet oni mieli taką piosenkę: „Już trzysta lat mija / jak brat w niewoli kona”.

Jak drugi raz uciekliśmy do miasta, mieszkaliśmy w pożydowskim domu. Żydów już nie było<sup>12</sup>. Kiedyś, już za Ruskich, przyszedł do nas pewien młody Żyd. Przechował się gdzieś w piwnicach czy kanałach, nie chciał podać swojego nazwiska, chciał rozmawiać tylko z Ruskimi. Poszedł do nich i dostał jakąś pracę i dwa pokoje w tym domu. Miał przestrzealoną rękę, potem niewładną. Jego rodzina zginęła. W Stanisławowie też było getto. Zamknięta była jedna ulica, nazywała się Pasieczna. Potem ich wywieźli, ale dużo ich postrzelali w pobliżu miasta. Ludzie widzieli, jak kazali im wyko-

---

<sup>12</sup> Getto zostało zlikwidowane w 1944 r., ludność żydowską wywieziono do obozu w Bełżcu. Przed wojną zamieszkiwało Stanisławów ok. 40 tys. Żydów.

pać doły i tam ich postrzelali. Podobno ziemia się jeszcze trzy dni ruszała.

W (radzieckim) Stanisławowie każdy, jak mógł, kombinował. Ojciec z bratem Jasiem chodził na rynek, kupowali zboże (żyto). W budynku, w którym mieszkaliśmy, przed wojną mieszkali Żydzi i wynajmowali Polakom. Potem ich Niemcy zabrali. Mieszkał z nami ruski milicjant z siostrą. W nocy przynosił drzewo z kantyny, ojciec rąbał je, wiązał w wiązki i sprzedawał na targu. Za pieniądze kupował żyto, w młynie dostawał za nie mąkę pszenną, najlepszą. Z tej mąki mama piekła pączki i sprzedawała na rynku. Policjant też z tego korzystał. Mieliśmy też znajomych, u których mieszkał major ruski z żoną, która była kapitanem. Jak mnie zobaczyła, to zaczęła się rozczulać, bo Niemcy jej taką córkę jak ja zabili. Więc ona się mną zaopiekowała. Pracowałam w jakimś laboratorium i im pomagałam – zmywałam, sprzątałam, prałam. Potem zaczęli wywozić Polaków, ale tylko chętnych. Kto chciał zostać, musiał podpisać ruskie obywatelstwo. Wielu starszych zostało. My pojechaliśmy „do Polski”, ale gdzie? Tego nikt nie wiedział.

Jechał nas tak duży transport, że musiały go ciągnąć dwie lokomotywy. Dojechaliśmy do Mikulczyc<sup>13</sup>, a tam tory były węższe w tę stronę. Miasteczko nawet było fajne, były tam dwie duże szkoły. Jedną zamknęli, a w drugiej pozwalali nam nocować. To było z kilometr od stacji. Gdy nas tam wyładowali, musieliśmy czekać dwa tygodnie. Przychodzili wojskowi i zaczęli się wypytywać, czy mamy kogoś na wojnie i czy mamy adresy. Mieliśmy trzy adresy: dwóch wujków i kuzyna. Przez te adresy wojskowe przywieźli nas tu, nad Odre, do Chojnic, bo tak się wtedy nazywała Chojna. A które rodziny były „niewojskowe”, to wyładowywali je w gorzowskim.

Jak tu jechaliśmy, to człowiek był niczego nieświadomy, gdzie i po co jedzie. Matka była chora, więc całą drogę, gdy zatrzymywaliśmy się na stacjach, to musiałam brać z Czerwonego Krzyża leki na uspokoi-

<sup>13</sup> Dzielnica Zabrze.

jenie bólu.

Przyjechaliśmy do Kostrzyna, słońce na czerwono zachodziło, a w Kostrzynie same szkielety. No i ten porucznik co nas wiozł mówi tak: „-Tu się będziemy rozładowywać”. A ludzie zaczęli krzyczeć, że tu sam szkielet, więcej nic! A ludzie byli różni, z miasta i ze wsi. I zaczęli biec za nim. A on na to: „- Nie, nie, ja tylko żartuję”. Poszedł do Czerwonego Krzyża, bo na każdej stacji był Czerwony Krzyż, żeby coś załatwić. No i powieźli nas do Godkowa, bo w Chojnie stacji nie było; była tylko drewniana, jakby polowa. Z Godkowa furmankami zabierali na wioski. Kto był ze wsi, to jechał na wieś, a kto z miasta, to do miasta. Ojciec koniecznie chciał zostać najpierw w Zabrze, bo tam był jego kolega ze Stanisławowa, z którym razem mieszkaliśmy. Ale mama uparła się, że nie, bo jej siostra i brat tu przyjechali. Ojciec chciał potem w Chojnie się osiedlić, ale matka chciała jechać na wieś, bo siostra i brat już tam byli.

Błażej, brat matki mojego męża Józefa<sup>14</sup>, dostał się do niewoli i w czasie wojny był w obozie jenieckim w Niemczech. Do Mętna przyjechał wcześniej i miał poniemieckie konie, więc furmanką woził ludzi, i tak spotkał swoją rodzinę. Część przyjechała do Mętna a część rodziny i znajomych osiedliła się w Stokach. Mając adres z wojska Józef przyjechał tu na urlop no i tak już został. Po skończeniu wojny żołnierze musieli jeszcze odsłużyć dwa lata, zanim armia nabrała nowych. Ale że dziadek był jedynym żywicielem rodziny, zwolnili go 9 miesięcy wcześniej.

Mętno nie było zniszczone, Chojna za to była bardzo; szczególnie cały środek, tylko boki były zachowane. Same gruzy. Z Godkowa do Mętna wieźli nas przez Chojnę. W Mętnie była już piekarnia. Ci, którzy wcześniej przyjechali (sierpień 1945), byli osiedlani przymusowo, żeby zagospodarować ziemię. Gdy przyjechaliśmy, to było jeszcze zboże

---

<sup>14</sup> Józef Kostański, ur. w 1926 r. w Wolczkowie, zm. w 2002 r. w Mętnie. Przed wojną mieszkał w Mariampolu k. Stanisławowa. Żołnierz I Armii Wojska Polskiego. Po wojnie osiadł w Mętnie.

na polu, ziemniaki.

Gdy przyjechaliśmy, było tu jakieś wojsko, ruskie, ale jakieś „cywilne” i oni też tu pracowali. Sztab ich był na lotnisku. Kościół w Mętnie widać, że nie był katolicki, a Ruscy zrobili sobie w nim suszarnię na zboże. Na wieży był duży zegar. Mieszkał z nami Stanisław Gronkowski, który chodził na górę, nakręcał go korbą, i zegar wybijał dwunastą i na wieczór szóstą. Z daleka, z pola widziało się, która godzina.

Kiedy my przyjechaliśmy, byli już tu ci, którzy przyjechali z Niemiec. Oni w większości byli z centralnej Polski, mówiliśmy na nich „centralaki”. Oni na nas mówili „zza Buga”. Żadnych animozji między nami nie było, chociaż na początku się ze sobą nie żenili, ale potem się zjednali.

Jak przyjechaliśmy, to była już szkoła. Przed nami przyjechał wczesniejszym transportem nauczyciel z rodziną i on tę szkołę prowadził. Msze odprawiał niemiecki ksiądz z Chojny<sup>15</sup>. Przyjeżdżał do Mętna, i chyba odprawiał w szkole, bo w kościele była ruska suszarnia na zboże. Dopiero jak się Ruskie wyprowadzili na lotnisko, to wtedy ludzie zaczęli opiekować się kościołem, pościągali znad Odry różne ołtarze i obrazy, postawili też metalowy krzyż na dachu, który kazał potem ściągnąć któregoś ksiądz, gdy przekładali dach. Widać było, że ten kościół wcześniej nie był katolicki.

Kiedy przyjechaliśmy to był tu już sołtys, powrócił z Niemiec, ale szybko wyjechał, bo był z „centrali”<sup>16</sup>. Wszystkie urzędy trzymali w rękę „centralaki”. Potem, jak zaczęli puszczać z wojska, to sołtysem został ktoś od nas.

Podziałów politycznych żadnych nie było, dopiero potem, jak miało być referendum i wybory, to zaczęło się mówić o polityce. Życie wtedy płynęło spokojnie, powoli się wszyscy osiedlali. W Mętnie była

<sup>15</sup> W Chojnie od 1913 roku znajdowała się parafia katolicka, która obsługiwała nieliczną, rodzimą ludność katolicką oraz polskich robotników sezonowych (parafia p.w. Najświętszego Serca Pana Jezusa).

<sup>16</sup> Tzn. z centralnej Polski.



piekarnia, więc mieliśmy chleb, dostawaliśmy też jakieś zapomogi.

Niemców już wtedy nie było. Zostało dwóch czy trzech, służyli u Polaków, którzy wrócili z Niemiec z robót, były też dwie starsze siostry, które mieszkały koło kościoła. Ale później i ich też wysiedlili. Ten młody (do czterdziestki) ksiądz niemiecki był może z rok, potem wyjechał. I po nim przyszedł ksiądz Czechowicz.

W maju 1946 zmarła moja mama.